Nr. 4. Kraków dnia 1. Grudnia 1893. Rok I.

Przedpłata
w Krakowie:
Rocznie złr. 16, półrocznie złr. 8, kwartalnie złr. 4, miesięczn. złr. 1·35.
Za odnoszenie 15 ct.
Na prowincji:
Rocznie złr. 20, półrocznie złr. 10, kwartalnie złr. 5, miesięcznie złr. 1·70.
Numer pojedynczy 6 ct.
Adres Redakcji i Administracji:
Kraków, ul. św. Anny L. 3.

GŁOS NARODU

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, I LITERACKI.

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych, o godzinie 8 rano.

Redaktor: JÓZEF ROGOSZ.

Ogłoszenia:
Za wiersz lub jego miejsce 6 ct.
Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach $1^{1}/_{2}$ ct.
W rubryce „Nadesłane“ wiersz 15 ct.

Do inseratów upełnomocniony:
St. Cyrankiewicz
w Krakowie.

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Spowiedź ministra.

Głośny niemiecki minister skarbu Miquel stał się ofiarą dość dowcipnej psoty. Wypłatali mu ją socjalni demokraci, wyszperawszy w papierach Karola Marxa list Miquela do Marxa, w którym dzisiejszy mąż zaufania cesarza Wilhelma II uprasza twórcę „międzynarodówki“ o poparcie moralne, ofiarowuje mu swe usługi i zapewnia o swem szczerze rewolucyjnem usposobieniu.... Dużo wody upłynęło od skreślenia tego listu, który p. Miquelowi najzupełniej „wyszedł z pamięci“. Dziś wywleczony zwraca powszechną uwagę i służy socjalistycznym mowcom i publicystom za broń pocieszną. Dość powiedzieć, iż usiłują Miquela przedstawić jako dzisiaj jeszcze „czerwonego“ w głębi duszy i starają się zrobić go w oczach „burżuazji“ podejrzanym.... Ów list „senzacyjny“ wypłynął także podczas tegorocznej rozprawy budżetowej w berlińskim parlamencie.

Na końcu swej długiej mowy, którą wygłaszał dnia 27. b. m., począł socjalny demokrata Bebel rozwijać system podatków progresywnych, których pierwowzorem są podobno przymusowe pożyczki państwowe z czasu wielkiej Rewolucji francuskiej, rozłożone rozmyślnie na „bogaczy“. Naraz, w ciągu wywodów, wziął na kieł udowadniać Miquelowi, iż przez swoją politykę podatkową gnębi i drażni ludność ubogą i że go rozumieć tylko wtedy można, gdy się nie spuszcza z uwagi, iż to właśnie on, Miquel, napisał ów list krańcowy z r. 1850.... Tu Bebel odczytał cytowane pismo. Miquel bynajmniej nic a nic się nie zmienił do dziś dnia, jest on tym samym, co za młodu, ale tem niebezpieczniejszym, bo wyrafinowanym agitatorem, który z ławy ministrów podburza lud, przyprowadzając go do rozpaczy.... Oczywiście w słowach tych tkwiła gorzka ironia, wyrzut, a zarazem szczery humor.

Blady, drżący wstąpił na mownicę minister skarbu. Jego rola była smutną, przykrą. Miquel musiał polemizować z Miquelem... Tkwi coś tragicznego w tem zdwojeniu osoby, które jest okrutną koniecznością, nieuniknionem następstwem omylności ludzkiej natury i... prawidłowego z wiekiem rozwoju umysłowego Miquel zbijał Miquela, wypierał się Miquela, ośmieszał go, walczył z nim... Niektóre ustępy mowy tak bardzo brzmiały „od serca“, były wypowiedziane z taką prawdą, że je warto powtórzyć. Opowiadał Miquel o swej młodości i kompromitującej korespondencji, jak nastepuje:

„Bebel odczytał przed chwilą list jakiś z 1850 r., list rzekomo mojego pióra. Nie wiem czy tak jest w istocie, ale nie przeczę, chociaż wprost nie pojmuję, jak mogłem wówczas, kiedy tyle brakowało mi jeszcze do dojrzałości, napisać coś tak niedorzecznego (wesołość). Pozwolę sobie przypomnieć kilku słowy epokę, z której pochodzi pismo wspomniane. Byliśmy właśnie pod świeżem wrażeniem 1848 r. My, młodzież, byliśmy w gorączkowem usposobieniu, a cały świat nie tylko my sami, przewidywał nowe wstrząśnienia. Byliśmy pogrążeni w rozpaczy, że idea jedności Niemiec tak marnej doznała porażki... i byliśmy gotowi rzucić się w objęcia każdemu, ktoby nam był podał rękę, aby ją urzeczywistnić, gotowi przejąć się każdem radykalnem hasłem (jakie dziwnie głębokie i prawdziwe słowa *P. R.*). Wtedy to byliśmy skłonni szukać w jednej księdze, w pismach Marxa i Engelsa, zupełnej prawdy. Podzielaliśmy pogląd, iż wynalazek maszyn, nowe środki przewozowe, wolna konkurencja, rozpętana walka o byt, przewaga mocniejszego — złożą się na to, że z czasem pozostaną na świecie bardzo nieliczni bogacze, a wszyscy inni ludzie stanowić będą jedną wielką masę nędzarzy. Pogląd ten był już wówczas dla mnie czemś wątpliwem. Nie mogłem sobie wyobrazić zapowiadanego nowego społeczeństwa, które powstać miało z popiołów i zgliszcz powszechnego zniszczenia. Kłopotałem się mocno, i to mię skłoniło, że już w roku następnym oddałem się głębokim i gruntownym studjom naukowym, których życzyłbym także panu Beblowi. Przeczytałem wiele setek dzieł poświęconych ekonomji politycznej, historji i filozofji, a przekonanie, które w tym nowym okresie rozwoju mojego umysłu narzuciło mi się pierwsze, było: iż teorja o ciągłem pogarszaniu się losu robotników, ponieważ siła rzeczy powstrzymuje ich rzekomo na szarym końcu bytu społecznego, — nie jest zgodna z prawdą. Wówczas wiedziałem już, że w rzeczywistości rzecz się ma wprost odwrotnie, iż z p o m n a ż a n i e m się b o g a c t w a n a r o d o w e g o, zysk od k a p i t a ł u maleje, a odsetek o w o c u p r a c y przypadający w u d z i a l e r o b o t n i k o w i, r o - ś n i e (silne poruszenie w Izbie, oklaski). Był to krok pierwszy do wyzwolenia się z niewoli umysłowej, z pęt doktryny, które mi tak ciężyły... Zrozumiałem konieczność społeczną istnienia warstw średnich... Zrozumiałem, iż drobny wytwórca, spożywający większą część swoich wyrobów, jest niezwyciężony w walce konkurencyjnej, tęższy od posiadacza latyfundiów, w którego gospodarstwie gra rolę maszyna i kapitał, ale który nie może tak łatwo wycofać z rynku swoich towarów, zmniejszyć podaży“. —W dalszym ciągu świetnej swej improwizacji, która nie tylko była zręczną obroną własną, ale zarazem w najlepszym stylu naszkicowanem naukowem odparciem doktryny kollektywistycznej, Miquel powołując się na c z t e r d z i e s t o l e t n i e studja zapowiedział, iż gdy będzie mógł oderwać się bodaj na chwilę od czynności urzędowych, ogłosi książkę. W niej zawrze krytykę doktryn socjalistycznych na podstawie swoich własnych wspomnień, powołując się na tok rozwoju umysłowego przez się przeżyty. Będzie to dzieło zatem pamiętnikiem, spowiedzią ministra. — W końcu odpłacił Miquel Beblowi pięknem za nadobne, przypominając mu, że i on zmieniał przekonania polityczne. Był agentem narodowo-liberalnego „Związku narodowego,“ dziś jest socjalistą i broni porządku społecznego przeciw ministrowi skarbu.

Bebel w końcu posiedzenia p r z y z n a ł s i ę, że w istocie był członkiem Związku narodowego. Przytem opowiedział całkiem nieproszony następującą anegdotkę. Ze Związku dano mu wówczas 200 talarów na cele zwalczania idei socjalistycznej. „W c z ę ś c i t y c h p i e n i ę d z y u ż y ł e m n a w a l k ę z s t r o n n i c t w e m n a r o d o w o - l i b e r a l n e m, b o w c z a s i e, k i e d y j e z w o l n a w y d a w a ł e m, p r z e s z e d ł e m d o o b o z u s o c j a l n o - d e m o k r a t y c z n e g o...“

Na owem pamiętnem posiedzeniu parlamentu niemieckiego został tedy zdemaskowany jeszcze jeden . . . Tayllerand. Bebel jednak zapomniał, że można mylić się na ludziach i błądzić w mniemaniach, że można w życiu być nieszczęśliwym, ale trzeba być uczciwym i przenosząc się z obozu do obozu godzi się wyrównywać poprzednio ze starymi przyjaciółmi pieniężne rachunki...

ROZMOWA
z księciem Alojzym Lichtensteinem.

(*List oryginalny „Głosu Narodu“.)*

Wiedeń, 28 Listopada.

(δ) Miałem dziś sposobność rozmawiania z ks. Alojzym Lichtensteinem. Przyjął mnie jako waszego korespondenta nader uprzejmie, witając zarazem bardzo sympatycznie wydawnictwo *Głosu Narodu*, jako dziennika czysto narodowej i wybitnie społecznej dążności.

Kto jest ks. Lichtenstein, na to nie potrzebuję tracić dużo słów, ponieważ łaskawy czytelnik zna prawdopodobnie tego znakomitego posła, który przez lat kilka należąc do komitetu wykonawczego prawicy, był jednym z wybitniejszych kierowników ówczesnej większości parlamentarnej. Po rozbiciu się prawicy, przez ustąpienie dr. Dunajewskiego z gabinetu hr. Taaffego, zbliżył się reformator społeczno-gospodarczy ks. Lichtenstein do ludu, szukając z nim bezpośredniej styczności. Przy ostatnich wyborach do Rady państwa widzimy go jako kandydata zjednoczonych antysemitów w wiedeńskim okręgu wyborczym Hernals-Währing, walczącego osobiście w zgromadzeniach wyborczych przeciwko kandydatowi stronnictwa liberalnego dr. Kronawetterowi. Była to ze wszech miar walka trudna. Wyszedł jednakże z niej zwycięzko większością prawie tysiąca głosów. Odtąd jest on myślącą głową stronnictwa chrześcjańsko-społecznego i przedstawicielem jego w stosunku do stronnictw parlamentarnych. Dodać należy, iż książę Lichtenstein należy do najlepszych mówców Izby. Mowy jego są pełne treści i głębszych myśli a wykazują wielkie wykształcenie i oczytanie. A mówi on z spokojem i świadomością, iż walczy o dobrą rzecz, o dobro ogółu, zagrożone

wyzyskiem kapitalizmu i zgubnej żydowskiej praktyki geszefciarskiej.

Obecne położenie uważa ks. Lichtenstein, jako jeszcze niewyjaśnione, dlatego trudno jest w chwili stawianie pewnych przypuszczeń o nietrwałości lub trwałości nowego gabinetu.

— Możesz Pan — mówił książę — powiedzieć za pośrednictwem *Głosu Narodu*, iż uważam ze stanowiska interesów stronnictwa zachowawczego i antysemickiego jako przedewszystkiem pożądane, utrzymywać z Kołem polskiem stosunki przyjazne. Działałem też zawsze w tym kierunku. Jestem po matce Polakiem — matka ks. Lichtenstein z domu hrabina Potocka — żywię dlatego dla Polaków wogóle jak największe sympatje. Ale, jak powiedziałem, nakazuje nam to i interes. Sądzę bowiem, że Koło polskie przy jakiejkolwiek zmianie systemu politycznego i wobec każdego rządu odgrywać będzie zawsze ważną rolę parlamentarną i mieć będzie wpływ na rząd, jakikolwiek by on był. Nadto przypada Kołu polskiemu rola pośrednicząca.

Rozmowa nasza przeszła na osobę prezydenta nowego gabinetu.

— Książe zna zapewne — zapytałem — ks. Windischgrätza osobiście?

— Znam go dobrze. Jest on przedewszystkiem zachowawcą.

Po chwili zaś dodał:

Mimo tego będzie lewica posiadała w nowym gabinecie przewagę. W danym razie oznacza parlamentaryzm rządu partyjną barwę polityczną w skazanym kierunku. Wolimy zatem naturalnie gabinet urządzony, jak nim było ministerstwo hr. Taaffego, bo taki rząd daje więcej rękojmi bezstronnego postępowania W tej chwili zbliżył się do nas poseł wiedeński dr. Gessmann, jeden z głównych mowców i działaczy stronnictwa antysemickiego.

Wiadomość o wydawnictwie „Głosu narodu" powitał i on z najżywszą radością.

— Szczęść Boże! — zawołał — biedny lud polski już od dawna potrzebuje publicystycznej obrony przed wyzyskującem, niszczącem go żydowstwem. Nie znam osobiście wydawcy i redaktora nowego dziennika, ale mimo to pozdrów go pan odemnie w imieniu naszego stronnictwa najserdeczniej. Życzymy mu szczerze jak najlepszego powodzenia. Pragnęlibyśmy zawiązać wzajemne stosunki przyjaźni, bo wspólny łączy nas interes. Galicja jest rozsadnikiem żydowskim zasilającym nas semitami wszelkich zawodów. Corocznie przedsiębierze z Galicji znaczna liczba żydów najazd na Wiedeń, a znowu odwrotnie kapitalizm żydowski z Wiednia ssie najżywotniejsze soki chrześcijańskiego społeczeństwa w tym kraju. Walka przeciwko żydom powinna być koncentryjnie prowadzoną wspólnemi siłami. Szczęść Boże więc dobremu początkowi!

Aresztowania w Czernihowie na Ukrainie.

Ruski dwutygodnik radykalny *Naród* otrzymał z Czernihowa, na Ukrainie, korespondencję która poniekąd rzuca światło na aresztowania warszawskie.

W połowie października b. r. odbyły się w Czernihowie rewizje u Andrijewskiego, seminarzysty Nowodworskiego i u panien Deiszówny i Reutowskiej. Troje zamknięto w więzieniu, a na Deiszównę nałożono tylko areszt domowy. Przyczyna takiej ludzkości dla Dejszówny ta, że matka jej jest osobą dość ważną — naczelniczką żeńskiej dyecezji szkoły duchownej (dla córek księży), a nadto w tym czasie chorowała śmiertelnie na serce.

Aresztowań dokonali żandarmi nie z własnej inicjatywy, ale na rozkaz departamentu policji. W Petersburgu czy w Warszawie aresztowano Świderskiego. On to, czy ktoś z jego przyjaciół napisał pod adresem Reatowskiej list, aby go wręczyła Dejszównie. Dejszówna wiedziała, że ją śledzą, i jak się okazało. korespondencję aresztowanych już od kilku miesięcy czytano na poczcie. Jeszcze w lecie obiegały pogłoski, że Dejszównę, Andrijewskiego i spółkę śledzą, i dziś — jutro schwytać ich mogą.

Dejszówna miała prosić żandarmów, aby nie przetrząsali domu izby matki nie turbowano. Oni zaś jej jakoby uwierzyli na słowo, że sama wyda wszystko co jest zabronionego, i upominali się głównie o listy Świderskiego. Dejszówna miała im wynieść oryginalne listy i numera gazet ukraińskich (galicyjskich) ale te gazety oni w kąt rzucili. U Andrijewskiego poszukiwano listów Świderskiego. ale niczego nie znaleziono. Na dzieła i listy ukraińskie, jakie im wpadły w ręce, żandarmi nie zwracali uwagi. Andrijewskiego aresztowano widocznie z powodu, że fakt bliższej jego znajomości z Deiszówną był skonstatowany.

Powodu aresztowania Nowodworskiego trudno się domyśleć. Nazajutrz odbyła się rewizja w Bibliotece Powszechnej, gdzie Dejszówna była członkiem wydziału i bibliotekarką. Tam szukano listów Świderskiego, czy gdzie nie są schowane. Robiono także rewizję u kilku seminarzystów (synów księżych).

Między publicznością powstał straszny popłoch; aresztowanych liczono na dziesiątki. O niektórych pannach obiegały wieści, że są aresztowane, i publiczność nie chciała wierzyć, że są wolne. Andrijewski i Dejszówna byli w istocie bardzo popularni między młodzieżą, zwłaszcza Dejszówna miała rozległe znajomości — więc też wedle zwyczaju publiczność, kogo zaliczała do jednego towarzystwa. tego też zaliczała do aresztowanego. Tu też objawił się strasznie nagannny charakter publiczności wydawać plotkami na zatratę ludzi, których się żandarmi nawet nie domyślali.

Przedewszystkiem orzekła ona że aresztowano za to, iż chcieli „odbudować Małoruś". Bóg wie zkąd utrzymuje się przekonanie, że Ukraińcy chcą oderwać Ukrainę i stworzyć z niej osobne państwo, i dlaczego wierzy temu nietylko szeroka publiczność ale poniekąd i oświecone żywioły kierunku wszechrosyjskiego. Rzecz dziwna. że i żandarmerja podziela to przekonanie!

Opowiadają znowu, że w Warszawie oczekiwano przyjazdu cara i „zamach" gotowano. To zasię słychać, że żandarmi wpadli na trop tajnego towarzystwa „Progres" (Postęp), do którego mają należeć Świderski i aresztowani.

Świderski był na początku lat 80-ch w seminarjum czernihowskiem. Zesłano go na Sybir za propagandę rewolucyjno-radykalną w duchu wszechrossyjskim. Wróciwszy z Sybiru, służył w Warszawie, i korespondował z Deiszówną. Aresztowano go podczas pobytu w Petersburgu. Obiega wieść, że odbyły się aresztowania w Petersburgu i w Warszawie. W Kijowie aresztowano studenta uniwersytetu Rumiancowa. Zandarmerja, jest przekonana, że oddziały tego towarzystwa istnieją w Petersburgu, Warszawie i Mglinie (miasto powiat. gub. czernihowskiej). — W Mglinie ogniskiem ma być jakiś naczelnik ziemski. Zdaniem żandarmerji, w tym też kierunku szli Czernihowczanie z Deiszówną no czele. Aresztowanych obecnie odwieziono do Warszawy.

Matka Deiszówny jest umierająca! Andrijewski pozostawił żonę i dwoje dzieci bez kawałka chleba; Reutowska, jak słychać, dostała pomięszania zmysłów od takiej niespodzianki. Deiszówna była przy matce, ale popi i archireje osądzili, że taka osoba niegodna nie powinna być w szkole, że to źle wpływa na dziewczęta, i wyrugowali ją ze szkoły. Jak zwykle, odwieziono ją zaraz do turmy a ztamtąd do Warszawy. Teraz dobijają się popi, aby także matkę takiej zbrodniarki wyrzucić i strącić ją z posady naczelniczki. Kto tu więcej ludzki: czy żandarmi, czy popi?

Święto Murawiewa.

Przed kilkoma dniami doniesiono z Wilna, że w tamtejszym prawosławnem seminarjów duchownem, oraz w szkole duchownej, gdzie się kształcą synowie popów i służby cerkiewnej, obchodzono w dniu 20 b. m. uroczyście „święto Murawiewa". Oprócz nabożeństwa w cerkwi na „cześć Murawiewa" były podobno obfite libacje.

Wiadomość tę, która wydawała się nam nieprawdopodobną, potwierdza oficjalny *Dniewnik Warszawski*, pisząc dosłownie:

„Najprzewielebniejszy Donat, arbybiskup litewski i wileński, na pamiątkę M. N. Murawiewa, zezwolił seminarjum i szkole duchownej świętować (pradnowat') dzień 8 (20) listopada, uwalniając wychowańców jednego i drugiego zakładu od zajęć naukowych".

W Wilnie istnieje od lat trzech kaplica, poświęcona pamięci Murawiewa, a w tym roku archierej Donat położył kamień węgielny pod budowę nowej cerkwi, która ma stanąć również na cześć byłego gubernatora Litwy. Dzienniki rossyjskie, wzywając do „dobrowolnych składek" na tę świątynię, przypominają, że kontrybucje ściągnięte przez Murawiewa z Polaków, pozwoliły mu powiększyć uposażenie duchowieństwa prawosławnego o 400.000 rubli rocznie, i że dał temuż duchowieństwu przeszło trzydzieści klasztorów katolickich z kościołami.

ZE LWOWA.

(*List oryginalny Głosu Narodu*).

Dnia 29 listopada.

Z obozu nowo-erystów żydowskich, z łona t. zw. syońskiej partji, która wzięła sobie za zadanie położyć kres... uciskowi (!) synów Izraela w Galicji przez polskie rządy (!) i założyć własne państwo pod niebem, na szczęście dość dalekiem, bo palestyńskiem — ozwał się charakterystyczny zgrzyt bólu i jęk skargi na... fundację hirszowską. Po trzech latach jej istnienia — wołają rycerze z pod znaku „Przyszłości", w najświeższym numerze swego organu — nastąpił już kryzys, więc warto popatrzeć na dotychczasowe rezultaty działalności kuratorów. Założono 21 szkół, których potrzeb żydzi nie odczuwają; inspektorowie ich tak ignorują zarządzenia władz krajowych, iż rada szkolna nosi się z myślą zamknięcia hirszowskich zakładów; z 60 stypendjów, istniejących jeszcze przed rokiem cofnięto wszystkie, skutkiem czego ubożsi seminaryści musieli szkołę opuścić. Miano kierować żydów do rolnictwa, lecz nie zrobiono nic w tym względzie, bo do takiej akcji brak zarządowi śmielszej myśli i szerszego widnokręgu; natomiast terminatorów porozmieszczano u wiedeńskich rzemieślników antysemickich. Zamierzonej reorganizacji krakowskiej szkoły przemysłowej zaniechano, i zmarnowawszy znaczne sumy, uchwalono tę szkołę rozbić i cząstki (?) jej przenieść do Tłumacza; warsztaty przemysłowe daremnie czekają na pomoc, dzięki niodołęztwu i złej woli naczelnej dyrekcji. A w komitetach lokalnych — jęczą dalej syoniści — cóż się dzieje? Bezprzykładne, wszak między członkami hańbienie i skandale *à la* „Feldmann-Landes". Tak dłużej iść nie może — kończą „nasi najserdeczniejsi bracia w. m.", fundacja powinna... pogardzić (tylko tyle?!) krzykami prasy polskiej na dążności germanizacyjne i oświadczyć, że żydów polonizować (ależ dziękujemy!) także nie myśli, bo jej wyłącznym celem oświata i dobrobyt izraelskiej owczarni, prześladowanej przez różne instytucje, które gwoli rugowania żydów, sejm wspierał... Słyszę czasem w naszych kołach głosy uznania dla „otwartości" syonistów. Jak widzimy, panowie ci umieją być nawet więcej niż... otwarci.

Ognisko życia młodzieży uniwersyteckiej, „Czytelnia akademicka" zamknęła rok ubiegły sprawozdaniem, brzmiącem równie niewesoło, jak wiele już, wiele poprzednich... Społeczeństwo ma nie darzyć jej sympatją, owszem (?) żywi opinję wewnątrz instytucji ciągle apatja i zniechęcenie. Mimo tych trudności, dążył Wydział ku temu by w Czytelni skupić duchowe życie kolegów

a pomyślny rozwój różnych kółek naukowo-rozrywkowych świadczy, iż usiłowania nie minęły bez pewnego skutku. Wedle rachunków kasy głównej finansowe końce ledwie się związać dały, bibljoteka wzrosła o 615 tomów, ile ich liczy razem sprawozdanie nie mówi, a musi to być cyfra już bardzo poważna. Do towarzystwa należy 212 członków, stosunkowo do ogółu akademików wcale mało a i z tego grona większość prawie zalega z wkładkami. Rok ubiegły był dla lwowskiej „Czytelni“ jubileuszowym; niestety i część poświęcona opisowi ćwierćwiekowego obchodu i całe sprawozdanie opracowane jest za mdło i za bezbarwnie jak na roczny obraz „duchowego życia młodzieży“ a nawet w porównaniu z relacjami z lat ostatnich.

Na dzisiejszy wieczór, w gimnastycznej sali „Sokoła“ zapowiedział produkcje z zakresu swego kunsztu, rozsławiony od niedawna, siłacz warszawski, Władysław Pytlasiński,. pojutrze odbędzie się między naszym atletą i niejakim Niemannem z Hamburga publiczny pojedynek zapaśniczy, z nagrodą 300 złr. względnie 600 marek. Niemiec, zwabiony wezwaniem, które Pytlasiński w fachowem piśmie zagranicznem ogłosił wszystkim amatorom takiego konkursu, że zjechał do nas specjalnie w tym celu, jak krążą wieści, ma się obowiązywać, iż w trzykrotnem starciu dwa razy pokona przeciwnika wedle wszelkich reguł. Rodak nasz dotąd jest dotąd niezwyciężony; pojedynek więc będzie bardzo zajmujący. Nawiasem mówiąc, P. nie imponuje bynajmniej ogromem budowy, posiada jednak niesłychanie wyrobione muskuły i nadzwyczajną sztukę zapaśnictwa, celuje zaś w podnoszeniu olbrzymich ciężarów.

Jak pisałem, z szeregu lekarzy i profesorów naszego uniwersytetu ubył dr. Longin Feigel. Śmierć zabrała go w sile wieku; chorował długo a przechodził okropne cierpienia. istne męczarnie... Od lat dwóch nie wykładał wcale, katedry jednak nie obsadzono, przewidując zgon rychły, nieunikniony... Przez zgon ten przedwczesny, nauka i społeczeństwo nasze poniosło jedną ze strat istotnych. Jak pojmował ś. p. Feigel swoje obowiązki obywatelskie, charakteryzować może między innemi szczegół nie wszystkim znany a godny pamięci. Podczas ostatnich wyborów posła do Rady państwa, (Rewakowicz — Piętak), posłał F. głos swój przez służącego, nie wiedząc, iż takie pełnomocnictwo nie jest dopuszczalne. Lokaj wrócił się z niczem, a wtedy F., śmiertelnie chory, zwlókł się z łoża boleści i z prawdziwą ofiarą dogorywających w nim sił fizycznych podążył do urny, by wedle przepisów osobiście kartkę swoją rzucić... Coraz rzadszy to w dzisiejszych czasach apatji, przykład poczucia praw obywatelskich i obowiązku korzystania z nich, zwłaszcza gdy sprawa publiczna tego wymaga.

Zamach dynamitowy w Berlinie.

Ostatni zuchwały zamach na kanclerza hr. Capriviego i cesarza Wilhelma nie daje spać policyi niemieckiej i francuskiej. Jak wiadomo, paczka nasion rzodkiewek oddaną była na pocztę w Orleanie. Tam więc w pierwszej chwili skierowało się śledztwo. Z Berlina udał się do Orleanu specjalny agent policyjny niemiecki. Francja przyrzekła wszelką pomoc, ale dzienniki paryskie nie dowierzają, aby zamachu mógł był dokonać Francuz, hr. Caprivi bowiem nie jest bynajmniej osobistością znienawidzoną we Francji, a nazwisko jego nie wiąże się wcale z wspomnieniami z 1870/1 r. Zresztą Orlean jest miastem spokojnem, które nigdy nie było ogniskiem anarchizmu. Pomimo to odbyły się rewizje na poczcie w Orleanie i dokonano szeregu przesłuchań, które nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Na rogach ulic pojawiły się plakaty, treści anarchistycznej. Powiadają, iż między rozlepiaczami zauważono Niemców. Być może, że po tej nitce władze trafią do kłębka.

Że sprawca zamachu wybornie znał hr. Capriviego, widać stąd, iż posłał mu nasiona rzodkiewek. Wiedział więc, iż kanclerz zajmuje się z zamiłowania ogrodnictwem. Tym razem złoczyńca jest „domowym złodziejem“. który doskonale wymacał grunt na jakim działa. Posyłając nasiona przypuszczał, iż pakiet otwierać będzie własnoręcznie sam kanclerz, jako przesyłkę czysto osobistą, nie mającą nic wspólnego z godnością urzędową. Maszyna piekielna przyrządzona była iście po szatańsku. Nakrywka przymocowana do brzegów pudełka elastyką, trzymała się jak na zawiasach. Odginała się nader ciężko, a wypuszczona z palców opadała napowrót z trzaskiem. Odgrywała ona rolę kurka. Ten zapadając zapalał proch, którym wypełnione było wnętrze pakietu i małą, nieznaczną kapslę. Z nią w łączności pozostawał wielki, na palec długi nabój prochu, napojony materją wybuchową. Złoczyńca liczył na to, iż osoba otwierająca pakiet mimowoli wypuści z palca nakrywkę, a wówczas wybuch byłby nastąpił w mgnieniu oka. Jak wiadomo, adjutant hr. Capriviego nie mogąc odgiąć nakrywki podważył ją scyzorykiem, a wtedy wysypały się ziarna prochu. Rzecz godna uwagi, że sprawca tę możliwość przewidywał i tylko niezwykły zbieg okoliczności pomylił jego rachuby. Gdyby pudełko otwierał był kanclerz, jako ogrodnik, byłby wiedział, iż nasienie rzodkiewki jest właśnie drobnem ziarnem, barwy czarnej, byłby więc proch wziął za nasiona. Ignorancja majora Ebmeyera tym razem bardzo mu się przydała, dzięki jej bowiem ocalał. Żołnierzowi proch wydał się odrazu tem czem był, prochem. Wysypał go więc na popielniczkę i zapalił. Skoro ziarnka zaczęły pryskać, wątpliwości już nie było. Bezzwłocznie zaalarmowany został porucznik Gadaner, pełniący służbę policyjną w rewirze gmachu kanclerstwa. Policja otworzyła pakiet, zamoczywszy go w wodzie. Materja wybuchowa wykazała co do składu niepospolite podobieństwo z płynem eksplodującym, jaki wypełniał bombę znalezioną w Berlinie w lecie b. r. Wówczas pewien Berlińczyk wręczył policji podejrzany pakiet, który odebrał był jednemu z swych robotników. Człowiek ten uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, ponieważ jak śledztwo wykazało, robotnik godził na jego życie i miał zamiar podłożyć pakiet w domu chlebodawcy, zapaliwszy lont. Winowajca, Polak pochodzeniem, dziś pokutuje w domu poprawy. Urzędnik policji manipulując z pakietem, przez nieostrożność spowodował wybuch i zginął na miejscu.

Do skrzynki z rzekomemi nasionami dołączony był list w języku francuskim, brzmiący w przekładzie jak następuje:

„Mam zaszczyt przesłać panu, panie jenerale próbkę nasion gatunku zadziwiającego, które zasiewa się w grudniu, a które schodzą w lutym. Gatunek ten nie lęka się mrozu.

Przyjmij, jenerale, słowa poważania

Orlean, ulica de Boutlong l. 17.

G. Dechanteau.

Na pakiecie był napis *Un echantillon de grain de radis d'une espéce étonnante* (próbka nasion rzodkiewki gatunku zadziwiającego). Niektóre pisma zwracają uwagę na złowieszczą grę słów. Gdyby do *éspéce étonnante* sprawca zamachu był dodał tylko jedno *d* i zrobił *detonnante*, jedna litera byłaby zdradziła prawdę. Tylko jednej litery brakowało. *Littera docet littera nocet.*

CZĘŚĆ URZĘDOWA.

Mianowania. Dyrekcja skarbu zamianowała adjunkta podatkowego, Aleksandra Mihowicza, kontrolorem podatkowym.

Prezenta. Namiestnictwo nadało opróżnione gr. kat probostwo *regiae collationis* w Leluchowie ks. Ignacemu Wisłockiemu, gr. kat. administratorowi w Leluchowie.

Nowe urzędy podatkowe, oraz depozyty sądowe wejdą z 1. grudnia w życie w Kulikowie, Zatorze, Ciężkowicach, Radymnie, Ulanowie, Przeworsku i Radłowie.

CZY SIĘ ŻENIĆ?

(Ciąg dalszy).

Rysa w murze staje się powoli coraz szerszą, kamyczek po kamyczku wypada, aż nareszcie robi się wyłom, przez który wciska się tysiące potworów z zazdrością czyhających na szczęście owej pary. Potwory zaczynają swe wstrętne harce i ostatecznie doprowadzają do ruiny raj tak wspaniały.

Niechajże więc mąż i żona spalą w pierwszym ogniu swej miłości wszystko, co uczynkiem, słowem a nawet myślą mogłoby z bliska lub z daleka zmniejszyć słodycz roskoszy małżeńskich.

Sedney Smith, autor angielski, porównał małżonków z parą nożyc, których ramiona złączone nierozdzielnie poruszają się zazwyczaj w kierunkach przeciwnych, lecz zawsze spotykają się razem, by ukarać tego, co się pomiędzy nie mięsza.

„A jeżeli ja chcę, żeby on mnie bił?“... woła żona Sganarella do sąsiada, pragnącego w najlepszych zamiarach wyrwać ją z rąk męża rozgniewanego i okładającego ją razami.

Istotnie nie trzeba wkładać palca pomiędzy biel i korę; małżonkowie zaś są zupełnie tak złączeni jak biel i kora. cóż więc dziwnego, że bronią się przed pośrednictwem niezręcznych przyjaciół, jak gdyby przed krzywdą lub obelgą.

II.

Żenić się czy nie żenić?

Pytanie to bezsprzecznie o wiele praktyczniejsze aniżeli hamletowskie *„to be or not to be“* („być czy nie być“) mimowolnie nasuwa się na myśl, gdy doszliśmy do końca rozdziału poprzedniego.

Jeżeli potrzeba tyle ostrożności i przygotowań do małżeństwa, o którem ostatecznie nie można z góry powiedzieć, że będzie szczęśliwem, w takim razie „gra — jak to powiadają — nie warta świecy“.

Kwestya to sporna od czasów jak istnieje małżeństwo, a zatem od epoki przedhistorycznej. Jedni oświadczają się za nią twierdząco, inni czynią pewne zastrzeżenia, a są nawet i tacy, którzy wręcz odpowiadają „nie“. Tych ostatnich jest liczba niewielka. Bądź co bądź, kwestja to dotychczas nierozstrzygnięta stanowczo i bez żadnych zastrzeżeń.

Postaram się przeciąć ją po swojemu. przypuszczając z góry, że przekonam tych tylko, którzy tak samo myślą jak i ja, oraz zastrzegając się, że piszę tylko z punktu widzenia praktycznego, pomijając dogmatyczny, który zdaniem mojem, żadnym dysputom ulegać nie może.

Jest wiele osób na świecie, posiadających szczególny jakiś talent pogrążania się ustawicznie w nieszczęściu, bez względu w jakich znajdują się warunkach i okolicznościach. Tych stanowczo usuwamy z dyskusji.

Dalej, są znów liczni zwolennicy celibatu, tj. życia kawalerskiego, oraz znaczna liczba mężów zawiedzionych. Są to zazwyczaj ludzie niezadowoleni z siebie samych i ze świata całego. Dla nich odpowiedź gotowa: „Róbcie co wam się podoba; żeńcie się lub nie żeńcie, zawsze tego żałować będziecie“.

Małżeństwo ma wiele stron przyjemnych, celibat ma mniej stron przykrych. Miłość wywiera wrażenie bolesne, brak miłości jeszcze boleśniejsze.

Pomiędzy zdaniami podobnemi na faktach prawdziwych i licznych opartemi, wybór jest istotnie trudny. O ile nadzieja była zwodniczą, o tyle i obawa może być kłamliwą.

Powiedziano gdzieś o małżeństwie, że jest to instytucja, z której ci, co w nią wstąpili, pragnęliby się wydostać, ci zaś co się tam nie dostali, pragną jak najprędzej do niej wstąpić. Jest to może dowcipne, ale nie zbyt prawdziwe.

Lepiej określił małżeństwo stary autor francuski pisząc: „Małżeństwo, to jakby starość. Każdy chce się jej doczekać, a doczekawszy, żałuje że nie jest przyjemniejszą“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

FEJLETON.

BEZ SKARGI.

Powieść
Józefa Rogosza.

3) (Ciąg dalszy).

Na to zapytanie, twarz dziewczęcia oblała się najpierw szkarłatem; prędko atoli rumieńce znikły, aby ustąpić miejsca śmiertelnej bladości.

— W kimżebym się miała kochać? — szepnęła usty drżącemi. — Przecie tu nie ma nikogo, a ja nigdzie nie wyjeżdżam.

Ojciec czas jakiś uważnie jej się przypatrywał, potem rzekł:

— Poślubić mężczyznę i matką zostać, to obowiązek kobiety. Temu obowiązkowi, moje dziecko, musisz i ty zadość uczynić.

Pochylił się nad nią, w głowę ją pocałował i krokiem wolnym miejsce to opuścił.

Handzia porwała się z przyzby i oburącz za głowę się chwyciwszy, jęknęła:

— Więc to prawda?... Więc oni mnie chcą za mąż wydać?... Więc to prawda?... O! Boże miłosierny, kto mnie w tem nieszczęściu wspomoże, kto mnie poratuje!

W kilka dni po tej scenie, która świadków nie miała, przed karczmą w Zabłociu stanął wózek jednokonny. Wysiadło z niego pięciu żydów starszych i jeden młodszy.

Był to narzeczony Handzi.

W alkierzu, dokoła stołu przykrytego białą serwetą, zasiedli mężczyźni: ci w czapkach futrzanych, tamci w kapeluszach, i szwargocząc, targu dobijali. W głównych zarysach interes był już załatwiony; pozostawały tylko rzeczy pomniejsze, które należało omówić w przytomności narzeczonego.

Ten w czapce sobolowej, w futrze tchórzami podbitem, choć w alkierzu było gorąco jak w łaźni, i w jedwabnym żupanie, chodził po izbie krokiem miarowym i o czemś myślał...

Nie skończył on jeszcze lat 18; do pięknych wcale się nie zaliczał, zwłaszcza że był rudy i miał oczy kaprawe, za to słynął daleko z wielkiej uczoności i arystokratycznych koligacji. Nikt tyle czasu co Szmil nad Talmudem nie tracił i nikt nie pochodził z lepszej rodziny niż jego, ta bowiem wydała dotąd dziewięciu rabinów, między tymi aż trzech „cudotwórców". Szmil był tedy partją nielada, z której sam Herszko mógł być dumny.

Podczas gdy goście rozmawiali, Dwojra rozstawiała na stole fajansowe talerze, poczem ukazał się szczupak po żydowsku, chleb, bułki plecione, wódka i piwo.

Mężczyźni jedli, popijali, a gwar ani na chwilę nie ustawał.

Tymczasem Handzia, stojąc w izbie przyległej, blada, smutna, spoglądała do alkierza przez drzwi rozchylone.

— Boże! Boże! i ten ma być moim mężem! jęknęła, łzy połykając, które do oczu jej się cisnęły.

IV.

Z kościoła ostatni ludzie wyszli. Gęsty mrok padał w około, pod bocznemi arkadami było już prawie ciemno, kościelny pogasił wszystkie świece, teraz nakrywał ołtarze suknem czerwonem, za chwilę miał jeszcze zgasić lampkę srebrną, która dotąd przed wielkim ołtarzem płonęła.

Przez drzwi lekko rozchylone wsunęła się postać kobieca chustką osłonięta i cicho, bez szelestu, jak duch pomknęła do ołtarza pobocznego, przed którym w Maju proboszcz nabożeństwo odprawiał.

W ołtarzu był piękny obraz, przedstawiający Świętą Rodzicielkę z Boskim Synem na ręku.

Nieznajoma, przed ołtarzem stanąwszy, zsunęła się na kolana, potem padła krzyżem na posadzkę.

— O! Marjo święta, zlituj się nademną! — jęknęła z głębi serca. — Tyś ucieczką dziewic nieszczęśliwych. Tyś ich opiekunką, ich matką! Duch mój skołatany, myśli zamglone, czuję żem stanęła na progu rozpaczy. Nie daj mi zginąć, Matko Najświętsza, wskaż com czynić powinna!... Rodzice chcą mnie związać z człowiekiem, mi niemiłym, oni pragną także, bym w ich wierze wytrwała, choć ja ją za błędną poczytuję. O Matko miłosierna! Ty wiesz że sercem i duszą jam Ci oddawna oddaną, rzuć więc na mnie spojrzenie litościwe i wspomóż mnie w niedoli! Matko święta, kieruj mojemi krokami i przez miłość dla Boskiego Syna Twego, ratuj duszę moją.

Na środku świątyni dały się słyszeć kroki kościelnego, poczem zrobiło się całkiem ciemno. To przed ołtarzem lampka zagasła.

Handzia szybko powstała i przez kościelnego nie spostrzeżona na dwór wybiegła.

Nazajutrz wieczorem, stała pod okopiskiem, niecierpliwie Słanisława wyglądając.

Ledwie się pokazał i do niej przybliżył, zaczęła szybko mówić.

— Niech się pan na mnie nie gniewa, że go znów napadam, ale może to ostatni raz. Mam prośbę gorącą; a odpowiedź jaką od pana otrzymam, rozstrzygnie o całem mojem życiu... Nie odrzucisz jej, panie Stanisławie?

Młody człowiek spojrzał na nią okiem zdziwionem.

— Nim odpowiem stanowczo, muszę wpierw wiedzieć, czego odemnie będziesz żądała?

— Ja chcę się ochrzcić...

— Ochrzcić?... A zastanowiłaś ty się nad tem dobrze co uczynić zamierzasz? Krok taki łatwo uczynić, lecz jakie będą jego następstwa?

— Wszystko w ręku Boga... ale postanowienie moje jest niezłomne. Ja twoją wiarę, panie Stanisławie, tak szczerze kocham, ja w prawdy, przez wasz Kościół głoszone, tak głęboko wierzę, że od mego zamiaru nic mnie nie odwiedzie. Chcę ztąd uciec jak najprędzej, choćby nawet dziś...

Czoło Stanisława bardzo się zasępiło.

— Lękam się, byś kiedyś porywczego kroku nie żałowała — poważnie przemówił — wszelako od twego postanowienia nie myślę cię odwodzić. Czyń, co ci sumienie każe spełnić. Mylisz się atoli Handziu, przypuszczając, że ja ci tu cokolwiek mogę pomódz. W tej ważnej sprawie musisz udać się wprost do naszego proboszcza, ten cię wyrozumie i dopiero on powie, jak dalej powinnaś postępować. Mnie samemu nie wolno się do tego mięszać.

— Nie wolno?

— Niestety, każdy nauczyciel tu, w Galicji, jest urzędnikiem państwowym, a ci w Austrji prozelityzmem nie mogą się zajmować. Ale idź do proboszcza, idź natychmiast, jeżeli zaś potem będę ci mógł dopomódz, najchętniej to uczynię.

— Dzięki ci za to, panie Stanisławie, stokrotne dzięki! Ponieważ matki mojej nie ma dziś w domu, bo pojechała do miasta i dopiero jutro wróci, a ojciec w karczmie zajęty, będę zatem mogła pójść zaraz do proboszcza. Do widzenia panie Stanisławie i proszę pamiętać o obietnicy.

— Bądź zdrowa Handziu!

Polnemi ścieżkami pobiegła ku ogrodom probostwa, które ociernionym płotem z trzech stron opasane, widać było na prawo.

Ks. Sylwester chodził właśnie po swoim pokoju i w ręku brewiarz trzymając, odmawiał półgłosem modlitwy wieczorne. Przez okno otwarte wpływało świeże powietrze, pełne zapachu jaśminów kwitnących. W pokoju było cicho. W jednej klatce usnął szpaczek, w drugiej kanarek, a ruch wahadła u ściennego zegara tak był monotonny i spokojny że im snu nie mącił.

Proboszcz stanął, bo drzwi się rozchyliły i wszedł organista.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Kalendarz kościelny. Dziś bł. Eligiusza i Natalii wdowy. Jutro dnia 2 grud Chryzologa i Aurelii.

Kalendarz myśliwski na Grudzień. Wolno polować na jelenie, rogacze, zające, lisy, jarząbki, słomki, cietrzewie, głuszce, bażanty, kuropatwy, dropie, pardwy, ptactwo wodne i błotne w ogólności. Ochraniać należy: łanie, kozy, cielęta i spiczaki; kury głuszców i cietrzewi, przepiórki i dzikie gołębie.

Kalendarz rybacki na Grudzień. Łowić wolno: Szczupaki, lipienie, głowacice, wyrozuby, bolenie, jazie, świnki, czopy, czeczugi, sandacze, klonki, leszcze, brzany, brzanki i cyrty. — Ochraniać należy do 15 grudnia: Łososie, pstrągi i węgorze. — Po powyższym terminie wszystkie gatunki ryb łowić wolno do końca b. m. W razie mrozów należy robić na stawach przyręble.

Kalendarz astronomiczny. Dziś wschód słońca przypadł na godzinę 7 minut 21; zachód słońca rozpocznie się o godzinie 3 minut 39 po południu. — Barometr wskazuje ciepła stopni 3½. Pogoda.

Wieczorek Listopadowy. Ku uczczeniu rocznicy Listopadowej, stowarzyszenie młodzieży rękodzielniczej „Gwiazda" urządza w niedzielę dnia 3 grudnia w lokalu swoim pod l. 50, przy ulicy Grodzkiej, uroczysty wieczorek, urozmaicony odczytem — śpiewem — deklamacją i obrazem z żywych osób.

Na zakupno domu Matejki, celem pomieszczenia w nim Muzeum jego imienia, obiecał hr. Stanisław Tarnowski dać 3000. złr., jeżeli to kupno przyjdzie do skutku.

Z koła artystyczno literackiego. Zapowiedziany w ubiegłym miesiącu, a z powodu zgonu śp. Jana Matejki, odłożony raut na przyjęcie artystek i artystów nowego teatru miejskiego, odbędzie się w lokalu „Koła", w nadchodzącą środę tj. dnia 7 grudnia b. m. Początek rautu o godzinie $9^1/_2$ wieczór. Urozmaicony program zabawy, składać się będzie z produkcyj muzykalnych, śpiewów i deklamacji. Członkom „Koła" przysługa prawo wprowadzenia gości.

Wystawa Matejkowska. W sali Muzeum Narodowego, zwanej Longierówką, urządza zarząd tegoż Muzeum, wystawę prac Matejki, na którą rodzina dostarczyła wszystkich dzieł jakie się w jej posiadaniu znajdują. Jak dotąd nadesłano już przeszło 40 utworów.

Medal na cześć twórców „Chorału". Koło artystyczno-literackie krakowskie, pragnąc niespożyte zasługi Kornela Ujejskiego trwałą uczcić pamiątką, w roku jubileuszowym postanowiło wybić medal na cześć twórcy chorału, łącząc w tym medalu Ujejskiego z Nikorowiczem, kompozytorem muzyki do chorału „Z dymem pożarów". Medal wybijany będzie w trzech gatunkach, a mianowicie: ze srebra, z bronzu i bronzu złoconego. Projekt medalu i rysunek głów obu twórców chorału, wykonał Juljusz Kossak. Portrety wykonane są w ten sposób, że wizerunki głów zamieszczone są po jednej stronie medalu jeden na drugim, okolone napisem: „Kornel Ujejski — Józef Nikorowicz". Po drugiej stronie medalu w okoleniu girlandy cierniowej z unoszącym się nad nią orłem polskim, mieści się napis:

Z dymem pożarów
Z kurzem krwi bratniej
Do Ciebie Panie bije
Ten głos,

Twórcom chorału
Koło art.-liter.
w Krakowie
1893.

Pierwsze odbicie tego medalu, wykonane w krakowskim zakładzie rytowniczym p. F. Wojtycha, przedstawia się bardzo pięknie. Medal, po odbiciu większej ilości egzemplarzy, co nastąpi w przyszłym tygodniu, rozesłany zostanie wraz z osobną odezwą do rozprzedaży. Cena wynosić będzie za medal srebrny 5 złr., za bronzowy złocony 1 złr., za bronzowy ciemny 70 cnt.

W sobotę dnia 2-go grudnia, o godzinie 9 rano, w Kościele OO. Karmelitów na Piasku, odbędzie się ślub panny Feliksy Mühln, córki ś. p. Józefa, naczelnika stacji kolei żel. w Rzeszowie i Emilji z Zarębów, z p. Walerym Witkowskim, rządcą dóbr w Wielkopolsce.

W tymże dniu i w tymże kościele, o godzi-

CO ŻYCIE NIESIE.

CZY SIĘ ŻENIĆ?

(Ciąg dalszy).

A, jeszcze fortepian, przedmiot, jak u nas, niezbędny; i ten jednak można albo wynająć albo też nabyć „na raty“.

Młodzi małżonkowie niechaj nigdy nie żałują, że na początek nie mają takich zasobów pieniężnych, jakieby mieć pragnęli. Jest to poniekąd dla nich bardzo dobrze, przyzwyczajają się bowiem do oszczędności. Później, gdy się dorobią, będą umieli żyć z ołówkiem w ręku, a to do szczęścia małżeńskiego wielce jest potrzebne.

Anglicy z zasady nie kupują przedmiotów używanych lub starych. Dobra to zasada, lecz zdaje się, nie jest ona niewzruszoną. Właśnie w kwesji umeblowania można śmiało od niej odstąpić. Stół stary, nieraz lepiej wygląda od nowego, zwłaszcza, gdy ręka kobiety umie nadać mu blask i pozór świeżości. Zapełnianie mieszkania mnóstwem mebli jest niezdrowe i niełądne. Wymagania hygjeny żądają jak najwięcej wolnej przestrzeni. Pustkę rażącą w saloniku lub w sypialni łatwo zakryć można, stawiając jakiś drobny sprzęcik, byle tylko odznaczał się on tem, co francuzi nazywają „dobrym tonem“.

Doprawdy, pożałowania godnymi wydają się ci, co mają odrazu wszystko, czego im potrzeba. Życie ludzkie traci zupełnie na uroku, gdy mając dosyć, nie odczuwa się przyjemności dorzucenia jeszcze czegoś, do tego, co się posiada.

Na ścianach zawiesić potrzeba jeden lub kilka obrazów. Pod tym względem, różnica zdań między małżonkami często na jaw występuje. Nic w tem dziwnego. Na jedno tylko oboje zgodzić się powinni, iż lepiej nie mieć wcale obrazów, aniżeli obwieszać całe ściany jakiemiś bohomazami.

Co do fotografij, miejsce ich właściwe jest w albumie. Na ścianie lub na stole leżeć mogą te tylko, które mają jakąś wartość artystyczną. Podobizny krewnych lub rodziny, nie powinny być rozrzucane po stołach.

Wyborną regułą w kwestji urządzenia mieszkania, jest zasada następująca: starać się tylko o to, co jest albo potrzebne, albo ładne. Zamiłowanie nasze do sztuki, nasz gust dobry, powinny cechować wszystko to, co nas otacza i kierować nami w wyborze każdego przedmiotu, chociażby najdrobniejszego. Myli się, kto twierdzi, iż rzeczy ładne droższe są od brzydkich. Wcale nie... to tylko rzecz gustu i starań. Przedmioty lub sprzęty ładne trudniej jest znaleźć; warto też w tym celu poświęcić trochę zachodu i czasu, i gdy potrzeba coś kupić, to nie brać pierwszego lepszego przedmiotu, jaki wpadnie pod rękę, lecz obejść kilka lub kilkanaście nawet składów, zobaczyć tu i ówdzie, porównać jedno z drugiem, i wówczas dopiero decydować się, zawsze zwracając uwagę na gust i elegancję.

W wyborze sprzętów, uważać przedewszystkiem potrzeba na prostotę, unikać przesady, dalej na zastósowanie lub cel, wreszcie na odpowiedni dobór kolorów.

Przy wejściu do pokoju, dobrze urządzonego, pomimowoli powinna w nas zbudzić się najpierw myśl: "jak tu dobrze", a w miarę, gdy się oglądamy, by wytłomaczyć sobie to wrażenie, powinno nam przejść przez myśl: "jak tu pięknie". I do tego zastósować się da znakomita reguła: „nigdy zadużo, ani za mało“. Najwyższą sztuką jest zręczne ukrycie sztuki. Piękno zanadto uderzające w oczy, traci na wartości i przestaje być pięknem.

Unikając przedmiotów zbytecznych, niepotrzebnych i rażących, nadamy mieszkaniu naszemu cechę dobrobytu i elegancji. Nie będzie ono wyglądało, jakobyśmy je urządzali, jak to powiadają „na hurt“.

Wspominając o możności nabywania niektórych sprzętów i przedmiotów używanych, nie znaczy to wcale, bym miał polecać tandetę. Tej zawsze unikać należy. Wszystko, co posiadamy, powinno być zrobione dobrze i z dobrego materjału.

Rzeczy drogie, są stosunkowo zawsze najtańsze, więc też nie trzeba dokonywać zakupów po tandetach lub sklepach, mających na celu wyzysk pod pozorem taniości, lecz udawać się do rzemieślników dobrych i do firm, którym zależy na dobrej opinji.

„Która to kobieta?...“ mawiał Jerzy IV-ty, król angielski, gdy posłyszał o jakiej zbrodni lub przestępstwie.

Mniejsza o to, czy Aleksander Dumas z tego źródła, czy też z innego zapożyczył hasła „Cherchez la femme“ dla swego Jackala: to tylko pewna, że pytanie podobne zawsze nasuwa się na myśl, gdy wchodzimy do mieszkania. Co to za kobieta, która umiała z takim wdziękiem urządzić to wszystko, ułożyć tyle drobiazgów, na pozór nie mających wartości, a jednak wywierających tak przyjemne wrażenie?...

Dobry gust w urządzeniu mieszkania jest rzeczą kobiecą. Po umeblowanin pokojów, łatwo poznać można, jak główka jej jest umeblowaną; gdzie bowiem nie ma rozwiniętego poczucia estetyki i zmysłu obserwacyjnego, tam i mieszkanie źle będzie urządzone i umeblowane.

Salonik powinien być pokojem, z którego można mieć użytek, nie zaś, jak się to zdarza czasami, częścią mieszkania zachowaną na okaz dla gości, Powinien on odznaczać się czystością, nie wymuszoną, co ziębi na pierwszy rzut oka, lecz oznaczającą dbałość, zapobiegliwość i dobrobyt.

Czystość zresztą i elegancja, są to przymioty wywołujące zadowolenie nie tylko u obcych ludzi, lecz i w nas samych. Dobra gosposia zawsze będzie dbała o czystość, nie, aby się komuś przypodobać, lecz dla tego, że porządek i elegancja jest jej żywiołem, bez którego czułaby się nie s...ią, jak... ryba na piasku.

Robinson Cruzoe, chociaż sam jeden był na odludnej wyspie, jednak starał się nadać mieszkaniu swemu wygląd jak najlepszy, najprzyjemniejszy dla wzroku Robinson Cruzoe widocznie był dobrą gospodynią.

Ta kokieterja, że ją tak nazwać można, względem siebie samego, jest ładną i zdrową. Tembardziej więc starać się o nią potrzeba w małżeństwie, gdzie zawsze odnosi się ona do osoby drugiej, to jest do męża.

Czyż może być coś wdzięczniejszego niż widok zapobiegliwej i skrzętnej gosposi, która stara się o jak najprzyjemniejsze nakrycie stołu, przybranie go nawet kwiatami, chociaż wie dobrze, że do obiadu zasiądzie tylko w towarzystwie męża!... Starania te wywołują przyjemne uczucie w niej samej, a i mężowi sprawiają pobyt w domu sam na sam z żoną przyjemniejszym, aniżeli wśród obcych. Że wyjdzie to na korzyść wzajemną małżonków, tego chyba dowodzić nie potrzeba.

Urządzenie kuchni jest pracą nudną i do pewnego stopnia niewdzięczną. Sprzęty kuchenne są drogie a zwykle mało z nich pożytku. Z drugiej zaś strony nie jest ani łatwem, ani interesującem studjowanie, czego kucharka potrzebuje naprawdę a co jej jest potrzebnem tylko w wyobraźni. Pomimo to jednak urządzenia kuchni nie należy lekceważyć. Jeżeli służąca nie ma tego, czego jej potrzeba, będzie traciła czas daremnie lub zmuszoną będzie do niepotrzebnego nakładu pracy zbytecznej. Mamy tu na myśli mianowicie różne maszynki pomocnicze, jak np. do siekania mięsa, obierania kartofli itp. Dobra gospodyni, nie lenią się zajrzeć do kuchni, a czasami zgotować obiad, z łatwością spostrzeże, co jest koniecznie potrzebnem, bez czego zaś obyć się można.

Pomiędzy innemi, w kuchni powinien znajdować się zegar; to rzecz ważniejsza, niżby się na pozór zdawało.

(Dalszy ciąg nastąpi).

UWAGI.

Takie już czasy nastały, że ludzi, zwłaszcza u nas, w Galicyi, trzeba do czytania zachęcać rozmaitemi środkami, do których prócz plakatów, numerów okazowych, własnych pochwał i tym podobnych reklam, należą także premje bezpłatne. Dziwić się tema nie można, boć na Zachodzie, gdzie cywilizacja wyższa i czytelników bez porównania więcej, niż u nas, wydawcy pism, z dawien dawna zasypują swoich abonentów bezpłatnemi premjami, dzięki którym zdobywają nowych czytelników, ci zaś wychodzą na tem dobrze, bo dostają więcej do czytania. U nas zwyczaj ten wprowadził pierwszy *Tydzień* we Lwowie przed 20-tu laty i od tego czasu, mniej więcej każde pismo koło Nowego Roku robi swoim czytelnikom jakąś niespodziankę. Reklama to godziwa, nawet pożyteczna, idzie tylko o to, by rzecz, którą się na premję przeznacza, miała wartość, inaczej pismo, któreby lichotę dało, bezpotrzebnieby się skompromitowało, a publiczność doznałaby rozczarowania. Powinniśmy również przestrzegać, byśmy nie stawali się narzędziem w ręku żydowskich wydawców, którzy w ten sposób na ludności chrześcijańskiej i za pośrednictwem pism chrześcijańskich, robią czysto żydowskie spekulacyjki. Nie będziemy wymieniali dzienników, które dały się podejść żydowskiej firmie Altenberga we Lwowie, i najrozmaitsze wybiórki tej księgarni leżące oddawna pod kurzem w magazynie, ogłaszały serjami, po cenie zniżonej, jako premje dla swoich czytelników. Nawet *Kurjer Poznański*, pismo surowo katolickie, nawet on reklamuje w ten sposób wydawnictwa Altenberga! Inne znów dzienniki popierają lichotę pt.: *Nowe Mody*, która jest własnością żydów wiedeńskich, jakbyśmy nie mieli *Tygodnika mód i powieści*, wydawanego przez chrześcijanina w Warszawie. Wstydźcie się, wstydźcie! a na wasze usprawiedliwienie tylko to powiemy, żeście się chyba dotąd nad tem nie zastanowili, co czynicie!...

* * *

Skoro mowa o premjach, nie sposób nie wspomnieć o pięknym i wyrazistym obrazie Żelechowskiego „Wywłaszczenie“ którego reprodukcję Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych w tym roku przeznaczyło dla swoich członków. Scena, którą autor przedstawił, jest żywcem podpatrzoną, a kto na nią bodaj przelotnie spojrzy, ten z pewnością nigdy jej nie zapomni. Do chaty włościanina przyszedł żyd, jego dobry „przyjaciel“ który go nie raz „wspierał“, udzielając mu pożyczek na krótki termin a na procent wysoki. Tym razem pan arendarz nie przyszedł sam, jak to dawniej czynił, ilekroć chciał w dodatku, do odsetek, wykręcić kilka jaj, kurę, trochę przędziwa, masła i tym podobne rzeczy — on dziś stawił się z woźnym, bo dług już zaskarżony, chata i pole wystawione na licytację, biedny chłop z żoną i dziećmi — pójdzie w świat szoroki zarobku szukać i albo się przebije, albo zginie... Wiadomość ta spadła na nieszczęśliwych jak piorun z nieba jasnego. Sam właściciel chaty wygląda jakby chciał przemówić żydowi do sumienia — jego żona kłania się strasznemu prześladowcy i o litość go błaga, woźny, przyzwyczajony do scen podobnych, patrzy obojętnie na to, co się przed nim dzieje — inne osoby w chacie ugrupowały się w głębi i z przerażeniem czekają co nastąpi — tylko dzieci w kolebce uśmiechają się swobodnie, bo te nie wiedzą, co ich rodzicom grozi... A żyd? O! ten stoi tam, obok woźnego, jednę rękę przytknął do brody i w chłopa zapatrzony, myśli... O, tak myśleć może tylko szatan, czyhający na duszę człowieka.

Ta postać jest tak charakterystyczna, tak pełna wyrazu, że ona jedna, sama w sobie, tworzy kompozycję.

Dobrze Towarzystwo zrobiło, przeznaczając ten utwor na premję. Niech tysiące reprodukcyj rozejdzie się po Polsce, niech chrześcijanie wi-

dzą, jakie następstwa pociąga za sobą „przyjaźń“ wszystkich Moszków i Herszków — niech ten obraz będzie dla nich przestrogą i nauką.

Zaiste, tegoroczne premjum Towarzystwa sztuk pięknych jest nietylko dobrym obrazem, ale i dobrym czynem!...

* * *

We Lwowie krzątają się publicyści około własnego balu, którego dochód jest przeznaczony na fundusz Towarzystwa dziennikarskiego. Bal, tak samo jak zeszłoroczny, udać się musi, bo gdy cała prasa weźmie się za ręce, wtedy łatwiej, niż ktokolwiek inny najtrudniejszą rzecz przeprowadzi — ale gdy czytam o przygotowaniach do balu, mimowolnie przypominam sobie, z jakim to rwetesem w roku ubiegłym Towarzystwo dziennikarskie zostało założone a jak teraz o niem cicho... jeden bal, choćby najświetniejszy, nie wiele w roku przyniesie, tymczasem dla instytucji tak pożytecznej możnaby pracować jeszcze w innych kierunkach. Czyżby to znaczyło, że inicjatorowie Towarzystwa, którzy w początkach złożyli dowody znajomości rzeczy, energji i zapobiegliwości, już się zmęczyli? Niewytłómaczonem jest również dla nas zjawisko, że krakowska filja Towarzystwa dziennikarskiego, przez cały rok nie dała najsłabszego znaku życia, tak dalece, że nawet nie wiemy, ażali ona istnieje. A przecie i tu można było coś urządzić: bal, koncert, choćby wreszcie szereg odczytów na dochód inwalidów dziennikarskich... Wielce byśmy byli ciekawi usłyszeć, co też ta filja właściwie porabia i jakie plany snuje na przyszłość?

* * *

Niemiła to rzecz dla artystów, gdy muszą grać przed pustemi ławkami, ale skoro raz zasłona się podniesie, i oni grać zaczną, nie powinni już na to zwracać uwagi, czy w sali jest tysiąc, czy tylko dziesięć osób, bo w tej chwili zaczął się ich obowiązek, którego pod żadnym warunkiem nie wolno im lekceważyć. O tym obowiązku, opartym na poczuciu własnej godności, a poszanowaniu publiki, artyści teatru krakowskiego zapomnieli w niedzielę po połudnu. Zapowiedziana była „Podróż na około ziemi“ już na godzinę pół do trzeciej. Widocznie spodziewano się mnóstwa dzieci, tymczasem tak się jakoś złożyło, że prawie nikt nie przyszedł. Pustki w teatrze były przerażające. Artyści widząc to, puścili folgę swemu humorowi, i nie grali, lecz wprost błaznowali. Zaznaczamy to z ubolewaniem, bo przecie teatr, wystawiony dla „sztuki narodowej“ nie jest budą jarmarczną, w której wszystko uchodzi. Kto onego dnia był w teatrze, przyzna nam, że nie przesadzamy.

Skoro mowa o teatrze, musimy zastrzedz się uroczyście przeciw przypuszczeniu, jakobyśmy się nie znali na sztuce i nie wiedzieli, co na takiej scenie, jak krakowska, może być przedstawione, a co na niej nie powinno się pojawiać. „Podróż na około ziemi“ powiedzmy to otwarcie, nie była utworem godnym przedstawienia. I nie dla tego to mówimy, że rzecz to stara, lecz że forma, w jakiej oglądaliśmy ją w Krakowie, była odpowiednią tylko dla scen prowincjonalnych, ale nigdy dla naszej. Nie powiedzieliśmy tego zaraz po pierwszem przedstawieniu, aby nam nie zarzucono, że młodej dyrekcji rozmyślnie trudności stwarzamy, ale dziś, gdy niemiecki impressario opuścił nasze miasto, ostrzegamy po przyjacielsku dyrekcję, by dobrze wpierw badała, kogo i co na scenę wpuszcza, bo nic łatwiejszego niż teatr skompromitować i zrazić do niego nie tylko publiczność łaknącą widowisk, lecz także kraj cały...

* * *

Piszą nam z miasta.

„Po piętnastu latach niebytności, tułaczki po Europie, a i za morzami, wróciłem do Krakowa do swoich, Kto nie widział znanej twarzy czas długi, wyraźniej pozna w niej zmiany, wpływ czasu, niż ten, co wciąż na nią patrzy, a i miasto, jak twarz ludzka, zmienia swoją fizjognomię. Kraków wyrósł, ale się nie zmienił. Przybyło mu domów, nie przybyło wielkomiejskości. Na pierwszy rzut oka razi, strasznie razi, małomiasteczkowe tamowawanie komunikacji na chodnikach. Pod kościołem Marjackim, aż po „szarą kamienicę“ tłumy żołnierzy stoją na chodniku i przejść nikomu nie dadzą. Zapewniają mnie, że to się dzieje tylko w niedzielę i święto; ba! ale i w te dnie komunikacja powinna być swobodną. W ulicy Grodzkiej szczególnie w pobliżu handlu Kosza, tłumy żydów gromadami zajmują chodnik. Szedłem z kobietami, nie miałem ani obowiązku ani ochoty schodzić w błoto i ścieki, więc proszę żydów by ustąpili. Gdy prośba nie pomogła, wezwałem pomocy policjanta. „Proszę też przestrzegać, by na chodnikach nie zatrzymywano się. To chodnik, a nie stojnik, czyli miejsce do chodzenia, nie stania.“ „A ja im mówiłem — odpowiada policjant — ale oni nie chcą słuchać“. (Autentyczne. W rozdrażnieniu zapomniałem popatrzeć na numer policjanta.) Żołnierze rzędami po trzech, nawet po czterech, z buńczuczną miną kroczą po chodnikach, zastępując je całkowicie i roztrącając nietylko mężczyzn, ale i kobiety. Hałatowi giełdziarze urządzają sobie spacery po chodnikach, przez całą ich szerokość, dziewczęta z żydowskich sklepów, biorą się we cztery pod ręce i tak po zamknięciu sklepu wracają do domu. Często gęsto spotkać można kilkanaście takich szeregów postępujących jeden za drugim i wtedy już idź na bruk, w błoto, pod koła dorożek i tramwaju, bo Rachele Sary i Rebeki zajęły cały chodnik i nie podadzą ci dzbanka wody, jak w biblii, ale obdarzą szturchańcem. To znowu obdarta, zasmarowana żydówka, wstrętnie brzydka sunie z ogromnym koszem, a w nim „hejse bobes“, magagiki i tym podobne łakocie ulicznej giełdy.

Powiem szczerze, że przed pietnastu laty tego nie było, a przynajmniej nie było tak częste i gęste, tak powszednie, tak aroganckie, tak zakorzenione, tak siebie pewne, zuchwałe, wyzywające! Z największem zdziwieniem dowiaduję się, że dzienniki miejscowe nie czynią o to wrzawy, że publiczność nie upomina się o porządek, że Rada miejska uwagi na to nie zwraca. Ależ to nie są drobiazgi; to choroba miasta, to mu odbiera charakter wielkomiejski, to je spycha do rzędu miasteczek powiatowych, to nas ośmiesza w oczach obcych, a zniechęca do Krakowa swoich. Dziś już Kraków staje się podobny do Lwowa pod tym względem, a jak dowcipnie nazwano Lwów wielkim Tarnopolem, tak niedługo będzie można nazwać Kraków wielkim Rzeszowem. S. p. Lam posłużył się przed laty niemieckim językiem, by porównać Lwów z Krakowem i powiedział, że Lwów jest „eine grose Kleinstadt“, a Kraków „eine kleine Grosstadt.“ Gdyby dziś zajrzał do Krakowa, jużby niestety i Kraków nazwać mu wypadło „eine grose Kleinstadt“. A tak mało potrzeba trudu i zachodu, by zaprowadzić ład uliczny na wzór miast np. niemieckich. W Dreznie stanąłem na chwilę na chodniku, spotkawszy znajomego z Warszawy, a już policjant ofiarował mi kwitek na 50 fenigów, które natychmiast zapłacić musiałem, nie chcąc być aresztowanym. Żołnierzy niech pouczy władza wojskowa, a giełdziarzy e tutti quanti wymiar kar za tamowanie komunikacyi i sprężystość policjantow, których giełdziarze powinni słuchać pod grozą kar pieniężnych lub aresztu.

* * *

Zaszedłem dziś do domu, gdzie dzieci zastałem jak mrowia. Malutkie, większe, dorosłe... wszystkie one należą do jednej rodziny, a chociaż rodziców o dostatki posądzić nie można, chowają się jednak hoże i będą z nich ludzie. A patrząc na ów drobiazg przypomniałem sobie co lud zwykł mawiać: da Bóg dziecko, da i na dziecko! Ileż prawdy głębokiej zawiera się w każdem powiedzeniu ludowem! Da Bóg na dziecko, da zawsze, bo wzmocni siły rodzicow, zdwoi ich zapobiegliwość, płaczem niemowlęcem pokrzepi upadającą energję i często nawet słabych zmieni w bohaterów.

— Nie dostatnio u nas — mówiła mi gospodyni domu — ale jakoś się żyje i gdyby nie to, że mam wielki kłopot z posyłaniem dzieci do szkoły, na nic bym się już nie skarżyła.

— A jakiż to kłopot? — spytałem.

— I wielki! — odrzekła. — Dawniej, gdy dzieci musiały dwa razy chodzić do szkoły, miałam dzień cały zajęty, a i one, biedaki, męczyły się niezmiernie, wszakże odkąd zaprowadzono jednorazową naukę szkolną, wolniej odetchnęłam, bom się spodziewała, że teraz dzieci będą razem do szkoły wychodziły i razem do domu wracały, tymczasem zawiodłam się... Starsze, ze szkół średnich, mają naukę jednorazową, ale Jaś i Ludwiś ze szkół ludowych, muszą jeszcze dwa razy chodzić. Niech mi więc pan powie, nie jest że to wielką dla mnie zgryzotą? Ustanawianie godziny objadowej, porządek domowy, wszystko mi się przewraca do góry nogami.

— Dziwi mnie, że Rada szkolna planu nie ujednostajni — odpowiedziałem — a dziwi tem bardziej, że np. w Podgórzu szkoły ludowe mają już naukę jednorazową.

— A mnie to wcale nie dziwi — wmięszał się gospodarz, znany z jowialności.— Rada szkolna przypomina mi owego kawalera, który chcąc psu ogona uciąć, a bojąc się żeby to psa bardzo nie bolało, ucinał mu go po kawałku codzień, a nie cały odrazu.

Rozśmieliśmy się wszyscy, lecz to bynajmniej nie zadowoliło troskliwej matki, która codzień radaby swoje dzieci razem wyprawiać i zbierać.

Teatr.

Gdyby pan Lubowski w swojej „Przyjaciółce żon“ okazał tyle inwencji i oryginalności w pomysłach, ile okazał dowcipu i zręczności w dyalogu, komedję tę trzebaby z pewnością zaliczyć do lepszych, jakie nam — tak hiobowo ubogim w prawdziwie dobre nowsze komedje — w ostatnich czasach przybyły. Niestety albo p. Lubowskiemu nie chodziło zupełnie o świeżość motywów, a tylko zależało mu na sposobności popisania się owym dowcipem i ową zręcznością, albo też sam nie spostrzegł, że las, w który wszedł, niema już ani krzty dziewictwa. Bo my to wszystko znamy: znamy i taką przewrotną, zepsutą kokietkę, uosobienie niemoralności, jak pani W i a t r o w i c z o w a (za czasów Noego także bogaty zwał się Bogacki, dobry Dobrocki, a lekkomyślny Wiatrzyński), znamy takich dwóch mężów, hultajów, ale w gruncie dobrych (patrz „Oj mężczyźni, mężczyźni!“ Zaleskiego i t. d. i t. d.), znamy i takie żony i wiele z sytuacyj podobnych — ba! nawet znamy to może i w lepszych wydaniach. Z wściekle rzymską duszą Cierski, oraz niepomyślne zakończenie sprawy między nim, a jego żoną, byłoby to jedyne dosyć nowe, a zupełnie — o ile mnie się przynajmniej zdaje — nowym i świetnie rzeczywiście skreślonym typem jest taki pan Metzger, syn zbogaconego piwowara, bardzo ordynarny, bardzo śmieszny, ale zupełnie szczery, prosty, taki — jak jest.

Komedja cała pod względem architektonicznym szwankuje znacznie: nic się tam nie trzyma jedno drugiego dlatego, że się trzymać powinno samo przez się, ale dlatego, że autor tak chce. A w takich razach jest zawsze wynik tensam: oto autor chce, aby się jedno z drugiem trzymało, ale owo jedno i owo drugie jest zupełnie odmiennych przekonań i — nie chce się trzymać ze sobą. „Przyjaciółka żon“ robi wrażenie czegoś niesklejonego, a przedewszystkiem nie staranne klejonego: zyskuje na tem epizodyczny talent autora, zyskuje jego wielka zdolność pisania scen samych przez się i dla siebie czasem i doskonałych, zyskuje wreszcie jego dowcip, który często błyśnie przypadkiem tam, gdzieby właściwie zupełnie naturalnym porządkiem rzeczy mógł i nie błyszczeć; traci zaś całość dzieła, konieczna w sztuce jednolitość i konieczna w niej harmonia.

Pan Lubowski ma prawdziwą znajomość sceny i dlatego też jednej rzeczy w komedji, o której mówimy, zrozumieć nie mogę: oto, jakim sposobem mógł on tak nieprawdopodobny dać nam akt, jak akt w owem wynajętem na schadzki mieszkaniu? Akt ten ma swoje wyborne rzeczy, ale tak ogromne „dlatego, że mi się tak podoba“ autora, na jakie sobie tym razem pozwolił p. Lubowski, psuje efekt. Nie pojmuję, jak pisarz tak rutynowany, mógł coś tak zbudować, a zbudowawszy, wad budowy nie spostrzedz?...

Jeżeli jednak zapomnieliśmy, że słuchamy czasem cokolwiek, a czasem i dosyć znacznie bajeczek pana Jowialskiego, jeżeli przestawał nas razić straszliwie „puszczony“ rysunek konturu: to przyznać musimy, żeśmy się w ogóle bawili dobrze, a miejscami wyśmienicie. Artyści przyczynili się też niemało do podniesienia sztuki: zwłaszcza p. Lubicz był wybornym. Na pochwałę zasługują też pp. Zawadzki, Morska, Wyrwiczówna, Sobiesław, Przybyłowicz, Dawidowski, Rygier i Śliwicki. Pani Leszczyńska w roli tytułowej, owej przyjaciółki żon, miała różne momenta: niektóre sceny, zwłaszcza te, gdzie nie trzeba było być salonową, odegrała dobrze; te, w których potrzeba było cieniowania i finezji, słabo.

A prawda, jeszcze jedno: jaka jest treść tej sztuki? Sam tytuł to tłómaczy. Przyjaciółka wnosi niepokój w domy swych przyjaciółek, romansuje z ich mężami (z kim się da zresztą tylko) intryguje nikczemnie i z nikczemnym egoizmem na wsze strony i doprowadza do katastrofy, na szczęście, jednej tylko. Ofiarą jej pada dwoje najlepszych w sztuce—i w tem pewna oryginalność autora. Tylko czy prawda? Bo jeżeli bezwarunkową prawdą jest, że bardzo często „was schoen und gut, das nimmt ein schlechtes Ende“, zato z pewnością nieprawdziwem, niemotywowanem psychologicznie jest postąpienie tego męża z żoną, która — zdradzała go, ale ostatecznie nie zdradziła. Mąż, kochając żonę, która go także kocha, bezwątpienia bardzo boleśnie dotknięty, odtrąca ją od siebie, kiedy ona go błaga o przebaczenie, kiedy chce zostać przy nim, kiedy wreszcie naprzód miłość, potem ludzkość, a na koniec sam rozum, który przecież ludzie nie na to mają, aby unieszczęśliwiać siebie i drugich, każą ją zatrzymać. Zaiste, wściekle rzymski jest ten Cierski, ale ponieważ i kocha żonę i jest ludzki, a jednak żonę i siebie unieszczęśliwia, więc musi być głupi i to niemniej wściekle głupi, jak rzymski. I tu jest cała tragedja, ale nie Cierskiego, tylko pana Lubowskiego: bo chciał on najwidoczniej zaimponować nam swoim Cierskim, chciał nas zdumieć jego siłą, a zdumiał nas tylko jego — głupotą Jestto przynajmniej moje wrażenie, może zresztą różne od wrażenia ogółu.

Chcę wierzyć, że tylko wskutek bardzo silnego mrozu tak mało osób znalazło się wczoraj na „Honorze“ Sudermanna. Gdyby było ciepło, a w teatrze również widziałbym tyle osób, których niema, powiedziałbym, że w Krakowie nie warto jest przedstawiać prawdziwych dzieł scenicznych. „Honor“ był już i to niezbyt dawno grany u nas i wówczas wiele o nim pisano, zresztą brak mi miejsca na szerokie rozpisywanie się o nieprzemjerze, choć uczyniłbym to z prawdziwą roskoszą. W mojem mniemaniu „Honor“ jest jedną z najświetniejszych rzeczy, jakie dała nam europejska literatura w ostatnich latach, mogącą rywalizować z każdym z celniejszych dramatów Ibsena, a od wielu utworów tego pisarza nieskończenie lepszy. Takie zuchwałe i tryumfalne deptanie szablonu, taki impet talentu, taki zamach potężny i chód fali morskiej: imponują poprostu. Rażą wady w budowie, usterki w wykończeniu u autora, który niczem istotnie dużo wartem, wad i usterek tych nie wynagradza; ale zapomina się zupełnie o ujemnych stronach „Honoru“, o braku rutyny, częstych niezręcznościach i nużących przewlekaniach, słuchając tych scen, które wybiegają nad powszedniość, jak wierzchołki Alp nad równiny. — A jest scen kilka — szekspirowskich

Artyści grali wybornie, szkoda tylko, że sufler tak głośno musiał podpowiadać, iż czasami słyszało się istotnie podwójny „Honor“. Pp. Wyrwiczówna, Wojnowska, Leszczyńska, Koźmin, Rygier, Trapszo i Śliwicki zdobywali sobie bardzo zasłużone oklaski. P. Kotarbiński grał przepysznie, a p. Kamiński poprostu znakomicie. *K. T.*

ŁOWY W KARPATACH.

(Notatki z wrażeń Nemroda).

(Ciąg dalszy).

Kiedy bojko zabrawszy swój owies, za przykładem niedźwiedzia w gawrze leżącego, odpoczywa w chałupie brzuchem do góry, wtedy Niemiec naprawia swój wóz i zaprzągłszy konie lub woły, jedzie w lasy na zarobek. Ten zwozi kloce do tartaku, tamten transportuje deski do Skolego, ci zaś, który nie mają ani koni, ani wołów, zarabiają siekierą.

Na wiosnę bojko z chałupy wylazłszy, patrzy okiem zazdrosnem na takiego kolonistę i skarżąc się przed Bogiem, mówi:

— On szczęśliwy, on nie wie co przednówek... a ja!...

Dzień był prześliczny.

Słońce, acz trochę blade, rzucało z ukosa ciepłe promienie; powietrze było czyste i suche, lecz bez woni; chwilami zdawało się, że jesteśmy jeszcze wśród lata. Ilekroć jednak wiatr pociągnął, chłodne jego tchnienie przypominało jesień, szelest zaś liści pożółkłych, co z olbrzymich buków sypały się na ziemię i cisza w całej naturze, której śpiew ptaków nie mącił — zwiastowały zbliżającą się zimę. Jeszcze dni kilka, najwięcej kilkanaście, a biała szata śniegu pokryje te góry i wtedy tylko świerki zielone będą świadczyły o wspólnem życiu w łonie matki-ziemi.

Upłynęła dobra godzina, nim konie nasze stanęły na szczycie Hostyłowa. Odtąd jechaliśmy samym grzbietem góry w kierunku Beskidu Wyższego, który rozgranicza Galicyę od Węgier.

W naturze zrobiło się jeszcze ciszej. Wiatr ustał zupełnie, liść więcej nie padał, ciepło było jak w lecie.

Konie szły ostrożnie, droga bowiem w tem miejscu tak wyglądała, jakby na nią kto rzucił długą a wąską sieć, sporządzoną z grubych sznurów i lin okrętowych. Stopy ludzi i nogi zwierząt tędy przechodzących, starły z korzeni świerków, które są zawsze na górze, wierzchnią ziemię, skutkiem czego korzenie wydostawszy się na wierzch, poprzerzynały drogę w najrozmaitszych kierunkach. W dzień iść tędy trudno, w nocy nawet niebezpiecznie.

Grzbietem Hostyłowa prowadził niegdyś trakt węgierski. Tu stała karczma, w której nie jeden opryszek gościł i gdzie rozegrało się dosyć dramatów; tu pojawiał się sam Dobosz, tędy przekradali się przemytnicy, którzy z Węgier, mających przed rokiem 1848 własną administrację państwową, tytoń przynosili. Nazywano ich „paczkarzami“. Ileż gwałtów, rozbojów, może także scen romantycznych, była ongi świadkiem ta wąska drożyna, po której teraz jechaliśmy powoli, całkiem bezpieczni!

Znów upłynęło pół godziny, nim konie nasze dostały się do pierwszej łączki, dokoła której rozpościerało się leśne cmentarzysko.

Rzadko kto widział coś podobnego, a i ja pierwszy raz w życiu wjechałem w tę krainę iście dantejską.

Administracja fundacyi, pragnąc podnieść dochód z lasów smorzeńskich, kazała w tem miejscu okorować 50 morgów buczyny. Gdy drzewa uschną będą spalone, poczem cała przestrzeń zostanie obrócona na połoninę, gdzie latem górale będą paśli bydło i owce. Okorowanie odbywa się w ten sposób, że u spodu pnia robotnicy obcinają dokoła buku korę na stopę szeroko, poczem drzewo, pozbawione niezbędnej ochrony, powoli zamiera. I umarło już w ten sposób kilka tysięcy buków stuletnich. Stoją one ponure, z ramionami rozpaczliwie w górę wzniesionemi, siwy mech obsiadł ich gałęzie, żaden ptak nie uwije gniazda w ich koronie, z niektórych spadła już cała kora i teraz widać pień gładki, różowawy, suchy, do słońca połyskujący. Tak muszą wyglądać ciała persów-starowierców, gdy na cmentarzyskach do słońca ustawione, czekają na sępy i hyeny....

Każda śmierć budzi grozę. Zimno mi się zrobiło na widok tych drzew obumarłych, więc też konia wspiąwszy, tam popędziłem, gdziem się spodziewał dojrzeć życia uśmiechy.

Po obu bokach drogi, w tych lasach prawdziwie dziewiczych, gdzie zimna siekiera nie rozpoczęła jeszcze dzieła zniszczenia, leżą tysiące olbrzymów, które burza powaliła. Jedne dopiero zielony mech przysiadł, drugie zbutwiałe, rozsypują się za lada dotknięciem. Na tych zasiewają się młode świerki. Stoją one w szeregu, jak mali żołnierze, te zaś między niemi, które już podrosły i w pniu gnijącym nie mają dla siebie dość silnej podstawy, opasują niebosczyka korzeniami jak kleszczczami, szukając pod nim twardej ziemi. Jedno zamiera, drugie rodzi się na jego zwłokach, śmierć i życie to silnie z sobą spojone ogniwa w nierozerwalnym łańcuchu wszechbytu.

Ale oto góra Doboszowa.

Jest ona niewielka, bez drzew, z jednej strony wiąże się z Hostyłowem, zaś z trzech innych opada dość stromo ku łące, która u jej stóp tworzy koło przestronne. Nie jest to właściwie góra oddzielna, ale niby narośl Hostyłowa. Ztąd widać na wszystkie strony lasy nieprzebyte, a zaś od przodu góry węgierskie, wznoszące się w terasach ku niebu.

Sławny opryszek, Dobosz, o którym Hucuł do dziś dnia tęskne dumki nucą, zapuszczał się w te oto strony i na tem tu wzgórzu chętnie przesiadywał. Musiał mieć duszę poetyczną, skoro wybrał sobie ustroń, w całej okolicy bezsprzecznie najpiękniejszą. Pod wielu względami przypomina ona mogiłę Askolda w Kijowie.

(C. d. n. w najbliższym num. niedzielnym).

SPORT.

Wielokrotnie na wyścigach, po skończonym biegu, dają się słyszeć narzekania publiczności a w szczególności graczy totalizatorowych na to, iż żokej nie wyzyskał wszystkich zalet i zdolności bieguna, powodując w ten sposób straty tym, którzy za nim trzymali.

Czasem do tych narzekań łączą się jeszcze oskarżenia, iż ów niedbały żokej był w biegu osobiście interesowany przez zakłady, a nawet wprost przez datki... Istna Panama!... Wierutne przekupstwo!!

Otóż komisarze wyścigów Towarzystwa zachęty hodowli koni w Paryżu, dla zapobieżenia złemu, które tam pewno częściej i dotkliwiej się wydarzało niż u nas, wydali następujące rozporządzenie regulaminowe:

„Uznając za zgubny pod każdym względem zwyczaj przez niektórych żokejów wprowadzony trzymania zakładów wyścigowych — komisarze uprzedzają (uprzejmie!) tych z pomiędzy żokejów, którzy bądź pośrednio, bądź bezpośrednio, grać by chcieli na torze wyścigowym, lub nawet przyjmowali pieniądze jako datki od innych osób, oprócz właściciela konia, którego mają dosiadać, że narażą się w ten sposób — gdyby fakt był dowiedziony — na wykreślenie z listy żokejów mających prawo jeździć w wyścigach pod egidą Towarzystwa urządzanych i odbywanych na zasadzie kodeksu wyścigowego.“

Uspokójcie się więc panowie gracze!... Nie ma przecież wątpliwości, że przykład towarzystwa paryskiego, zostanie i u nas naśladowany.

Finis zatem żokejskim sztuczkom!

KRONIKA.

Kraków dnia 6. stycznia.

Kalendarz kościelny. Dziś Trzech Króli, jutro Juljana i Lucyana męczennika.

Dziś, w katedrze na Zamku, w kościele OO. Dominikanów i OO. Reformatów uroczyste doroczne nabożeństwo, z wystawieniem N. Sakramentu.

Kalendarz myśliwski na styczeń. Wolno polować na kozły (rogacze), zające, lisy, jarząbki, słomki, cietrzewie, głuszce, bażanty, kuropatwy, dropie, pardwy, ptactwo wodne i błotne w ogólności. Ochraniać należy: łanie, kozy, cielęta i spiczaki; borsuka, kury głuszcow i cietrzewie, przepiórki i dzikie gołębie, a od 20 stycznia, bażanty i kuropatwy.

Kalendarz astronomiczny. Dziś wschód słońca rozpoczął się o godzinie 7 minut 38 rano; zachód słońca przypadł o godzinie 3 minut 52 po południu. Długość dnia godzin 8 minut 14.

Barometr wskazuje pogodę. Zimna stopni 8.

Jutro o godz. 4 min. 7 rano rozpoczyna się nów. Kalendarz przepowiada niebo przeważnie jasne, a zimno mierne; za zmianą wiatru, pochmurno i śniegi.

Kupujcie tylko u chrześcijan!

Obie nasze Administracje z ulicy Szewskiej i św. Anny. zostały przeniesione do Rynku l. 22, na dole, tam gdzie apteka Trauczyńskiego.

Redakcja przy ulicy św. Anny l. 3.

Z powodu dwóch dni świątecznych, najbliższy dodatek „Głosu Narodu" wyjdzie w poniedziałek, d. 8 bm. o 10-ej rano.

P. Prezydent miasta uda się w najbliższym czasie do Wiednia w sprawie zawarcia kontraktu z rządem o budowę dwóch szkół gimnazjalnych w Krakowie.

Dr. Henryk Zoll objął już urzędowanie, jako rektor Uniwersytetu, a d. 9 b. m. dokona imatrykulacji uczniów, którzy w bieżącym roku szkolnym wstąpili do Uniwersytetu.

Dr. Henryk Jordan, po dłuższej niebytności, wrócił do Krakowa.

Mróz znacznie osłabł i wiatr ustał, a chociaż dziś do dnia niebo było jeszcze wyiskrzone, bardzo być może, że śnieg nadciągnie.

Bitwa pod Custozzą. Plastyczny obraz, pomysłu jen. Mattesa, komendanta szkoły wojennej, przedstawiający wiernie tę słynną i krwawą walkę, zobaczymy w Krakowie za dni kilka. Jest to obraz cięty w drzewie, na podstawie planów wojskowych, zatem bardzo dokładny. Wystawa tego obrazu ma być otwartą już w przyszłym tygodniu. Obraz ten ma 84 metrów kwadratowych.

Stypendja. Wydział krajowy nadał stypendja uczniom szkół publicznych. Otrzymali : na wydziale prawnym Uniwersytetu Jagiellońskiego: Piotr Zaczek z I roku z fundacyi Głowińskiego 157 złr. 50 ct.; Edmund Fischler z IV roku, z fundacji Głowińskiego 210 złr. 50 ct.; Henryk Fiałka z IV roku, z fundacji Głowińskiego 157 złr. 50 ct.; Michał Mazaraki z I roku, z fundacji Matczyńskiego (szlachec.) 157 złr. 50 ct.; Franciszek Bardel, z IV roku, z fundacji Głowińskiego 210 złr. Na wydziale filozoficznym: Eugenjusz Rogiński z III roku z fundacji Barczewskiego (szlachec.) 300 złr.; Adam Ziemski z II r., z fundacji Bazyl. Towarnickiego 200 złr.; Michał Janik z II r., z fundacji Głowińskiego 157 złr. 50 ct.; Stanisław Srokowski z III r., z fundacji Zawadzkiego (szlachec.) 157 złr. 30 ct. Na wydziale lekarskim: Józef Dakura z V roku, z fundacji Niezabitowskiej 500 złr.; Kazimierz Majewski z III roku, z fundacji Niezabitowskiej 500 złr.; Tadeusz Majewski z V roku, z fundacji Baz. Towarnickiego 200 złr.; Kazimierz Gerus z III roku, z fundacji Głowińskiego 157 złr. 50 ct.; Wiktor Stankiewicz z IV roku, z fundacji Głowińskiego 157 złr. 50 ct.; Stefan Łuniewski z IV r., z fund. Zawadzkiego (szlachec.) 157 złr. 50 ct.; Władysław Mazaraki z I r., z fund. Zawadzkiego (szlach.) 157 złr. 50 ct.; Janusz Niementowski z III r., z fund. Zawadzkiego (szlach.) 210 złr.; Mieczysław Nartowski z IV r., z fundacji Zawadzkiego (szlach.) 157 złr. 50 ct.; Adolf Wątorek z III r., z fund. Głowińskiego 157 złr. 50 ct. Dalej Aleksander Wyporek z III roku szkoły przemysłowej krakowskiej otrzymał stypendjum z fundacyi Głowińskiego 157 złr. 50 ct. Z gimnazjum św. Anny otrzymali: Henryk Dunning z VIII klasy z fundacyi Głowińskiego 157 złr. 50 ct.; Jan Magiera z V klasy z fundacyi Jarosławskiej 105 złr.; Emil Mecnarowski z IV klasy z fundacji Stawka 52 złr. 50 ct.; Józef Gabryś z IV kl. z fundacyi Stawka 52 złr. 50 ct. Z gimnazjum św. Jacka Stefan Kondraszek z III klasy z fundacyi Głowińskiego 157 złr. 50 ct. Z gimnazjum III Władysław Machowski z IV klasy z fundacyi Głowińskiego 157 złr. 50 ct.

Z gimnazjum w Bochni Jan Sierosławski z VI klasy fundacji Głowińskiego 157 złr. 50 ct. Z gimnazjum w Chyrowie Stefan Woynarowicz z IV klasy z fundacji Wierzbickiego (familijne) 370 złr. Z gimnazjum w Jarosławiu Zdzisław Stankiewicz z III klasy z fundacji Stankiewicza 200 złr.: Władysław Giżycki z VII klasy z fundacji Głowińskiego 157 zł. 50 ct. Z gimnazjum w Jaśle Zdzisław Słowikowski z VIII kl. z fund. Laskowskich 200 złr.; Józef Pruchnicki z VIII kl. z fund. Głowińskiego 157 złr. 50 ct. Z gimnazjum w Nowym Sączu Stefan Brablec z V kl. z fund. Głowińskiego 157 złr. 50 ct. Z gimnazjum w Rzeszowie Kazimierz Piasecki z VI kl. z fund. Głowińskiego 157 złr. 50 ct. Z gimnazjum w Tarnowie Jan Ryglowski z II. kl. z fund. Głowińskiego (familijne) 157 złr. 50 ct.; Ludwik Mleczko z V kl. z fund. Boznańskiego 150 złr.; Adam Maksymowicz z IV. kl. z fund. Zakordonowej 157 złr. 50 ct.; Józef Szumilas z VII kl. z fund. Zakordonowej 157 złr. 50 ct. Z gimnazjum w Wadowicach Aleksander Rajda z VIII kl. z fund. Skibińskiego 96 złr.

Ze szkoły realnej w Krakowie Marjan Nawrocki z VI klasy z fundacji Laskowskich 200 złr., Józef Victorini z III klasy z fund. Zakordonowej 157 złr. 50 ct. Ze szkoły sztuk pięknych w Krakowie Andrzej Zarzycki z III r. z fund. Zakordonowej 157 złr. 50 ct. Ze szkoły handlowej w Krakowie Tadeusz Koczanowicz z fundacji Dydyńskiego 450 złr. Ze szkoły ludowej w Bochni Marja Gębicówna z fundacji Laskowskich 150 złr.

Stypendjum z fundacji Głowińskiego w kwocie 157 złr 50 ct. otrzymał także Juljan Midowicz z V kl. gim. św. Anny w Krakowie. Z gimnazjum w Przemyślu otrzymali stypendjum Grzegorz Szałowski z V klasy z fundacji Zawadzkiego 157 złr. 50 ct. Bazyli Piniło z IV kl. z fund. Radymieńskiej 60 złr. i Jędrzej Paraszczak z IV kl. z fund. Skibińskiego 96 złr. Stypendja rozdano także studentom uniwersytetu lwowskiego, oraz uczniom gimnazjów we wschodniej części kraju.

Warta honorowa przed pałacem książęco-biskupim, z powodu silnych mrozów została na życzenie księcia Kardynała, tymczasowo zwinięta.

Będziemy bogaci. Co trzeba uczynić, aby tanim kosztem zostać wielkim dobroczyńcą ludzkości? Niezwykłą tę zagadkę, ku ogólnemu zadowoleniu, rozwiązał śp. Adam Bieńkowski, notarjusz z Czortkowa, który umierając w r. 1886, zapisał Krakowowi 100 złr. z tem zastrzeżeniem, iżby ta kwota była stale oprocentowywaną przez 354 lat, wtedy bowiem wyniesie ona 122,721,058 guldenów o rocznym procencie 4 908,842 złr. Magistrat zapis przyjął, Namiestnictwo go zatwierdziło i teraz już napewne będziemy bogaci! Nie wiemy tylko, czy pan prezydent Friedlein do tego czasu żyć będzie, czego mu szczerze życzymy, bo wtedy jużby się nie kłopotał ani brukami miejskiemi, ani szkołami. A możeby się jeszcze znalazło kilku takich dobroczyńców, niech się łaskawie zgłoszą, chętnie ich obdzielimy tanią sławą.

Nowy budowniczy. Namiestnictwo reskryptem z dnia 2-go października 1893 l. 68709 upoważniło Magistrat do wydania panu Aleksemu Kowalskiemu, asystentowi budownictwa przy tutejszej wyższej szkole przemysłowej — koncesji na budowniczego w Krakowie. Pan Aleksy Kowalski, po ukończeniu techniki odbywał praktykę w biurach p. architektów pp. Sławomira Odrzywolskiego, Tadeusza Stryjeńskiego i p. Jana Zawiejskiego.

Tęcza a nadzwyczaj świetlna, ukazała się wczoraj między godziną 8 a 9 rano po prawej stronie słońca. Powietrze podczas zjawiska było czyste. W samej tęczy słońce odbijało się jak w matowem lustrze. Niezwykłe to zjawisko jest widocznie zapowiedzią silniejszych jeszcze mrozów.

„Czytelnia akademicka" ma urządzić kolejno trzy wieczory uroczyste na cześć Juliusza Słowackiego, Joachima Lelewela i Jana Matejki.

Oddział krakowski Towarzystwa pedagogicznego, odbędzie posiedzenie dnia 6 stycznia 1894 o godzinie 11-tej przed południem w c. k. seminarjum żeńskiem. Na porządku dziennym: 1) Zagajenie, 2) Odczytanie protokołu z ostatniego posiedzenia, 3) Wybór sekretarza, 4) Sprawozdanie delegata oddziału z walnego zjazdu w Tarnopolu, 5) Odczyt: Ułożenie szczegółowego planu lekcyjnego o szkołach 1 do 4 klasowych na podstawie planów, instrukcji i nowych książek (preleg. p. Wojtyga), 6) Wnioski członków.

„Zgoda" urządza w sobotę dnia 6 stycznia br. koncert z muzyką wojskową od godz. 6 do 10 wieczór, a następnie zabawę tańcującą.

Herbata dla ubogich. Zeszłej zimy założono na pl. Szczepańskim publiczną herbaciarnię, gdzie za 2 ct. można było dostać szklankę gorącej herbaty. Dla ubogiej ludności krakowskiej, włościan na targ przybywających i biedactwa wszelkiego rodzaju, było to wielkiem dobrodziejstwem. Tej zimy nie pomyślano o tem wcale, a wątpimy, żeby koszta utrzymania takiego zakładu mogły być znowu tak znaczne, żeby dla budżetu miejskiego były one dotkliwe. Wobec mrozów nadzwyczajnych, jakie teraz zapanowały, instytucja taka byłaby bardzo pożądaną. Poddajemy na tem miejscu szanownym radnym miasta myśl powyższą, nie wątpiąc, że odniesie ona pożądany skutek.

Zbrodniczy napad. Dnia 1 grudnia b. r. o godzinie 9 wieczorem, niejaki Dudzik, stróż, wracając z żoną do domu na ulicę Rakowicką, nagle zaatakowany został przez ułana, który chwyciwszy jego żonę za rękę począł ją ciągnąć, wołając: „Chodź panna ze mną, bo ja kawaler!" Dudzik ujął się za żoną a ułan dobywszy pałasz ciął go w głowę, poczem chciał umknąć. Dudzik, jakkolwiek raniony, pobiegł za nim i otrzymał nowe cięcie pałaszem w rękę. Mimo to bohaterskiego ułana przytrzymała policja a Dudzika odstawiono do stacji ratunkowej, gdzie mu udzielono pomocy lekarskiej.

Usiłowany rabunek. Niejaki Szmul Gotlieb, przybywszy z Okocimia, chciał pojechać dalej koleją żelazną, idącą z Podgórza, a właściwie z Płaszowa. Nie znając jednak drogi, wyszedł z Podgórza i rozglądał się na wszystkie strony. Wnet przystąpiło do niego trzech włościan, którzy, dowiedziawszy się, że Gotlieb udaje się na kolej, oświadczyli, że go zaprowadzą drogą krótszą przez Zabłocie. Jakoż zaraz jeden wziął go pod rękę, drugi zaczął go omacywać po piersiach, trzeci zaś wprost zapytał, czy ma pieniądze na opłatę ich usługi przyjacielskiej. Żyd przerażony, wyrwał się im i począł uciekać. Ponieważ jednak była to godzina 11-ta i noc ciemna, żyd wpadł do rowu, a za nim zwalili się rabusie. Byliby może go tam oporządzili, ale przypadek zrządził, że żandarm Marek, który szedł wówczas z patrolem, widział całą awanturę i wszystkich czterech pochwycił jak wróbli, gdy się ich niespodzianie przykryje czapką. Żyd uratowany, a rabusie oddani do Sądu powiatowego w Podgórzu.

Z Towarzystwa ogrodniczego. Na onegdajszem posiedzeniu tego pożytecznego dla kraju towarzystwa, przedstawił docent Uniw. Jagiell., p. Brzeziński, nadesłane z Niemiec chromofotografie owoców, hodowanych za granicą i przedstawił sposoby rozwijania gruszek, jabłek i t. d., przyjęte w Niemczech. P. Malecki, inspektor ogrodów miejskich, miał odczyt o sadownictwie i warzywnictwie, zakończył zaś wnioskiem o potrzebie zakładania w Galicji, przy szkołach ludowych, szkółek drzew owocowych. P. Klicz postawił nadto wniosek, żeby w Krakowie założyć specjalny ogród dla wychowywania zdrowych i odpowiednich do klimatu naszego szczepów owocowych, któreby w następstwie udzielać można było bezpłatnie włościanom i nauczycielom szkół ludowych do zakładania po wsiach ogrodków, rozbudzając w nich tym sposobem zamiłowanie do sadownictwa. Na tem zamknięto po-